

Jeśli przeciętnemu człowiekowi z czymś kojarzą się Filipiny, to z krwistymi 'rekonstrukcjami' wielkanocnymi i Magellanem (oraz, ostatnio, z chorobą naszego byłego prezydenta). Portugalski żeglarz w służbie króla Hiszpanii zasłynął podróżą dookoła świata, którą niestety dokończyć za niego musiał ktoś inny, bo sam po mniej więcej dwóch trzecich trasy zakończył swoją wyprawę (i życie) na Filipinach, gdzie wdał się w niepotrzebną potyczkę z tubylcami.

Na miejscu sprawa wygląda nieco inaczej. Po pierwsze, Magellana utłukli nie byle tubylcy, ale wielki i otoczony czcią król Lapu-Lapu, który - zdaniem Filipińczyków - miał dwa metry wzrostu, przypominał z wyglądu (na pomniku) Conana Barbarzyńcę, a zraniony magicznie odzyskiwał sprawność i zdrowie w mgnieniu oka. Na czele ponad tysięcznego oddziału rozprawił się z inwazją Hiszpanów (jako, jak podkreślają, pierwszy władca w południowej Azji), fundując swoim rodakom jeszcze 40 lat względnego spokoju, zanim nie dotarła na Filipiny ekspedycja iberyjskich mścicieli (nieostrożnie pozwolono odpłynąć jednemu statkowi, nota bene pod nazwą Victoria, więc pozbycie się Europejczyków było siłą rzeczy jedynie tymczasowe). Z jednej strony nie do końca wiadomo, czy to na pewno Lapu-Lapu osobiście oddzielił głowę Magellana od reszty jego ciała - z drugiej, turystom pokazuje się skwerek i kamień z inskrypcją, że na tym kamieniu hiszpański kapitan oddał ducha. Bitwa odbywała się w niekorzystnych dla Hiszpanów warunkach, wśród mangrowców na bagnistym brzegu wyspy, tak więc oprócz przewagi liczebnej tubylców, ciężkozbrojny desant miał jeszcze kłopoty ze sprawnym poruszaniem się. Magellan zresztą pokładał nadmierne oczekiwania w muszkietach, nadto jeszcze nie spotkał się wcześniej z agresywnym i zdeterminowanym przeciwnikiem. (Lapu-Lapu został królem Mactan, bo uprzednio popędził stamtąd piratów, więc cieszył się autentycznym szacunkiem i wsparciem swoich poddanych.)

Magellan miał też jakoby wybitne zasługi misjonarskie. Zaraz po zejściu na ląd na wyspie Cebu wbił w plażę wielki krzyż i kazał kapelanowi odprawiać mszę. Ze statku zniósł też figurkę Dzieciątka Jezus (na oko bliźniak "praskiego Jeżulatka"), która tak zachwyciła lokalną królową, że dała się już pierwszego dnia namówić na konwersję i chrzest, a wraz z nią król (imieniem Humabon) i setki poddanych. Krzyż (nowy, bo wierni łupali na relikwie, ale ponoć z elementami starego w środku) stoi zresztą do dziś w centralnym miejscu stolicy wyspy, a Santo Niño cieszy się olbrzymim kultem w barokowym kościele. Pomiędzy jednym a drugim spotkać można liczne babuszki, które za kilka peso sprzedają kolorowe świeczki (kolor zależy od intencji) i demonstrują modlitewne tańce zaadaptowane z pre-magellańskich wierzeń, choć już z katolickim tekstem.

Obecnie wyspy Mactan (na brzegach której zginął Magellan) i Cebu (gdzie święcił triumfy jako ewangelizator) łączą dwa mosty, dawniej były to dwa oddzielne, a skłócone ze sobą królestwa. Cebu zresztą miało się nazywać Ciudad†del†Santísimo

Nombre de Jesús, ale się hiszpańska nazwa czegoś nie przyjęła i wrócono do poprzedniej, miejscowej nazwy. Na wyspie Mactan oprócz lotniska i pomników obu stron walczących w bitwie znajdują się też liczne warsztaty wytwarzające gitary; zaraz tam nas zawieziono, ale że nie wykazywaliśmy zainteresowania zakupem nawet ukelele, przewieziono nas przez most na wyspę Cebu.

Wyspa jest bardzo górzysta, więc miasto Cebu się trochę dusi, stąd sporo terenów wydartych morzu, bogatsi zaś wynoszą się na pagórki górujące nad miastem. Nasz przewodnik powtarzał kilka razy, że Filipińczyków pochodzenia chińskiego jest co najwyżej 20 procent, ale kontrolują oni co najmniej 80% wszystkich biznesów w Cebu. W naszych szerokościach geograficznych mawiało się tak o Żydach, a ostatnio o Sorosie (co na jedno wychodzi).

Chińczycy faktycznie stanowią większość mieszkańców 'Beverly Hills' (tę oryginalną i niewyszukaną nazwę nosi miejscowa dzielnica bogaczy), główną atrakcją której stanowi okazała świątynia taoistyczna zbudowana w latach 60 ubiegłego wieku. Świątynia ma zresztą dość ciekawą historię powstania: jakiś staruszek paraplegik medytował sobie pod drzewkiem, gdy wtem uderzył bardzo blisko piorun. Staruszek się przestraszył i uciekł na własnych nogach, co zostało poczytane za cud, dobry omen i wyraźny znak, aby powstało tam miejsce kultu. Jeden z dozorców świątynnych miał na bluzie identyfikator z imieniem (nazwiskiem?) Archangel. Trochę to dziwne, funkcja stróża zwykle zarezerwowana jest dla aniołów niższego sortu. Filipińczycy mają zresztą dość liberalne podejście do imion, bo spotyka się i tradycyjne hiszpańskie, i te anglojęzyczne, i zupełnie miejscowe.

Zawieziono nas też do zachwalanego przez naszego przewodnika Sirao Garden, które miało być, według jego słów 'małym Amsterdamem'(?). Na miejscu znaleźliśmy rozkopane zbocze z kilkoma rządkami zabiedzonych celozji, upstrzone za to gęsto "ozdóbkami" w stylu betonowych pasteczek, drucianych altanek, plastikowych wiatraczków itp. kiczu, częściowo już czekającego na Walentynki. Widząc taki "ogród botaniczny" doszliśmy do wniosku, że właściwie należałoby postawić na Złotowskiej budkę z biletami i kasować za wejście do naszego ogrodu (choć betonowych pasteczek tam nie ma - a może to o nie przede wszystkim chodziło).

Mówiąc o kiczu, koniecznie trzeba wspomnieć o "świątyni Lei", czyli - toutes proportions gardées - Taj Mahal Cebu. Na tej samej górze co ogród Sirao znajduje się nie mniej nie więcej, tylko "antyczna" świątynia z 2011 roku, poświęcona żonie fundatora (jak nam powiedziano, lokalnego hotelarza i potentata "branży edukacyjnej", posiadającego jakieś płatne szkoły). Gigantyczny pomnik rzeczonyj Lei zasiada w czymś na kształt Partenonu z betonu udającego marmur, wśród gipsowych Gracji i witrażowych aniołów grających na instrumentach muzycznych. Skala budowli jest monumentalna, choć po bokach auli z pomnikiem znajdują się

jakieś niedokończone pokoje (trudno zgadnąć: zaczątek muzeum? Miejsce, gdzie rodzina Lei będzie pić herbatkę podczas wizyt?).

Dziwnych pomników zresztą w Cebu jest więcej. W środku miasta stoi "Wielki Pomnik Wszystkiego" (oficjalna nazwa: Cebu Heritage Monument) czczący wszystko, co twórcom skojarzyło się z ojczyzną. Na jednej sterce znajduje się więc cała historia od Magellana, Lapu-Lapu i Santo Niño, do prezydenta Sergio Osmeña (pochodzącego z Cebu), poprzez filipińskiego świętego (z nadania B16) - ministranta (Pedro Calungsod), który w XVII wieku zasłonił księdza przed ciosem włóczni. W pobliżu za to znaleźć można wreszcie coś mniej więcej autentycznego, czyli pochodzący z XVII wieku dom należący oryginalnie do rodziny chińsko-hiszpańskiej (de facto chińskich katolików) - Yap Sandiego Ancestral House. I mały forcik - Fort San Pedro - z czasów kolonialnych, pierwszą ostoję Hiszpanów na Filipinach. Forteca (na planie trójkąta) zbudowana jest z lokalnie dostępnych materiałów - kruszonych koralowców, uformowanych wraz z białkiem jajek na coś w rodzaju Cegieł.

A potem przepłynęliśmy z Cebu na wyspę Bohol, gdzie przejdziemy na kilka dni z trybu nomadycznego na osiadły. Swoją drogą, na promie wyświetlano sequel filmu animowanego o rybce Nemo. Dość dziwny pomysł - pokazywać podczas podróży morskiej film, którego akcja dzieje się pod wodą.